Tom III. Nr. 7.

1. Września 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dziwny sen.

Opowiedziała Ludka z Myślenic,

ca na swoje własne uszy słyszała.

Kto ciekawy, niech-no posłucha, jaki to dziwny sen miała tego lata jedna kobiecina wsiowa a moja dobra znajoma: — Powiada, jakoś tego dnia bardzom się była spłakała nad mojemi ziemniaczkami, co mi się już na piękne psuć zaczęły. Tak-ci tedy sfrasowana przychodzę do domu i zaraz po zachodzie słonka układłam się spać. I otóż śni mi się, że widzę jakąś słuszną osobę, obleczoną w białe chusty, ale takie wam białe, jak kiedyby sam szczery śnieg. W koło niej tańcują nasze ziemniaczki, niby żywe; kręcą się, furkają, a onać osoba trzyma rózgę w ręku i raz w raz *ciach*, *ciach* po tych ziemniaczkach naszych, a co uderzy w który, zaraz-ci ziemniak *bęc* o ziemię i już-ci z niego jeno błoto i gnój. A to mi się aż na płacz zebrało, widząc to we śnie — więc rzeknę do onej osoby:

— Moja ty śliczna osobo, czy ta święta! i czegóż tak te biedne nasze ziemniaczki do reszty zagubiasz?

A na to mi ona osoba: — Słuchaj, ty dobra kobieto! prawi — powiem ci coś, ale żebyś to zaraz i drugim rozpowiedziała, co usłyszysz odemnie. Widzisz, ja jestem śmierć ziemniaków. Z rozkazu Boga jestem posłaną, aby to nasienie ze wszystkiem wytępić.

Jakże nie krzyknę: — Matko bolesna! a toć nam przyjdzie z głodu powymierać.

A zaś ona: — Cicho kobieto! co tak wrzeszczysz!... Naprzód wysłuchaj, jak to było przedtem, zanim jeszcze wasi ludzie poczęli sadzić ziemniaki. Oto bywały często głody, bo jużcić samem twardem ziarnem ludek się nie zawsze mógł obżywić — a ztąd potem bywały i wszelakie choroby, jak to zwyczajnie po głodzie. Ale że wasi przodkowie Polacy inaksi byli ludzie, a nie tacy, jak wy dzisiaj, coście się strasznie popsuli — toż Pan Jezus i Jego Matka Najświętsza ulitowali się nad ich niedolą i pokazali im taki kraj gdzieś daleko aże za morzem, a gdzie się już od dawien dawna rodziły ziemniaki. I posprowadzali sobie ludzie z tamtąd dużo nasienia a Pan Jezus pobłogosławił, iż się i u nas przyjęły ziemniaki i bardzo pięknie porodziły. I cieszył się ludek, że ciężkie przednowki od niego odeszły i że już nie potrzebował głodem przymierać.

Aliści dobrze to powiadają, *że chleb ma rogi* — więc, że się ludziom dobrze już działo, dalejże pasa popuszczać i hulać, a nie wiedząc co mają robić z ziemniaczkami, których im Pan Jezus nasporzył, wymyślili sobie taki sposób, coby z onych ziemniaczków gorzałkę pędzić. I jak zakosztowali tej *psiej pary* ziemniaczanej, dopieroż to zaczęli dokazywać, że się aż diabli pocieszyli a zaś Matka Najświętsza aż zapłakała, tak się jej żal zrobiło tego ludu, co się był tak bardzo rozpuścił. Wzięła więc prosić Boskiego Syna swego, aby jakoś temu zaradził. No, tedy Pan Jezus rozkazał, aby to nasienie ziemniaków było przeklęte i z ziemi zgładzone. I jużby do dziś dnia pewno jednej bulby nie było, gdybyć znowu nie Matka Najświętsza, nasza Królowa polska, którać jeszcze uprosiła Pana Boga, aby do razu nie zagładzał tego nasienia, co ludziom w ciężkim czasie

wielką jest pomocą — ale aby tylko swój ludek spróbował i po trochu im ujmował tego daru. Jeżelić usłuchają, wyrzekną się gorzałki i jeszcze wczas się nawrócą do dobrego — niechżeby im się znowu dobrze i szczęśliwie działo na tej ziemi. — Tak prosiła Matka Najświętsza.

I otóż widzisz, moja kobieto, ja jestem *śmierć ziemniaków*, com tu od Boga zesłana na wasze pokaranie. Opowiedz to ludziom, że skoro się nie poprawią, to im do reszty to nasienie wygubię i będzie potem głód wielki i wielka bieda.

Co gdy rzekła ona biała i słuszna osoba, to się kędyś podziała, a jam się wtedy ocknęła i poczęłam się modlić. A potem rano rozpowiedziałam naszym ludziom we wsi, co mi się ano śniło dziwnego.

— I jakże myślicie, moja jejmość! czy się też nasi kiedyś poprawią?...

— Bóg da i Matka Najświętsza, żeć się poprawią.

STOPKA JADWIGI.

Święta to była dusza ta *Jadwiga*, królowa nasza. Kazimierz Wielki był jej dziadkiem, a za męża miała Władysława Jagiełłę, litewskiego księcia, który się tak był w niej rozmiłował, żeć dla niej i sam się pogaństwa wyrzekł, i całą Litwę ochrzcił i jeszcześ ją do Polski przyłączył, tak, że już odtąd Polska a Litwa były sobie niby siostry rodzone. Przyjdzie czas, gdzie wam będziemy o tej Jadwidze dużo mówić — dziś wam tylko rozpowiemy historję o jej *stopce*, co ją był jeden mularz wykuł na kamieniu i oddał ją do kościoła na wieczną pmiątkę. Posłuchajcież, jak to było:

— Hej, zwijajcie się murarze, majstrowie,
Niechże stanie śliczny kościół w Krakowie,
Niechże stanie Panu Bogu mieszkanie —
    Kiedy w łasce bez miary
    Do swej przyjął mię wiary,
I dał śliczną polską ziemię na wiano
    Z Jadwigą ukochaną,

Hej, zwijajcie się murarze, majstrowie,
Żeby stanął śliczny kościół w Krakowie,
Bo król każe złote stawiać ołtarze;
 A Jadwiga królowa
 Idzie spojrzeć z Krakowa,
Czy też będzie, jak przystało, chędoga
 Ta świątynia dla Boga.

Hej, już widać, idzie pani przez Kraków,
A koło niej starych kilka żebraków,
I sierotki bez opieki, kaleki —
 A Jadwiga słodziuchna
 Niby jaka ich druchna
Miło mówi, raz za razem przystaje
 I jałmużnę rozdaje.

Hej, zwijają się majstrowie weseli,
Bo Jadwigę miłościwą ujrzeli;
Tylko jeden czasem wzdycha choć z cicha;
 A co młotem uderzy,
 To łza z oczów mu bieży,
Ciecze licem i wesołość zeń´żenie,
 I spada na kamienie.

Więc stanęła obok niego królowa:
— Co ci człecze? — Żona moja nie zdrowa,
Leży w chacie bez pomocy w niemocy
 A pisklęta dziecięta,
 Nikt o nich nie pamięta,
Z głodu prawie już umiera biedactwo,
 Jak w ostrej zimie ptactwo.

Żal oblał twarz Jadwigi miłośną,
Wszystko złoto da mu ręką litośną,
A tak jej się jeszcze zdało że mało;
 Toż sparła w tem strapieniu
 Stopkę swą na kamieniu,
Poodrywa z trzewiczków lamę złotą
 I daje mu z ochotą.

Hej, zwijają się murarze, majstrowie,
Żeby stanął śliczny kościół w Krakowie.
Jeden sobie wyśpiewuje i kuje:
 Wziął kamień ociosany
 I wapnem pobryzgany,

Żłobi dłutem, bo się na nim została
Królowy stopka mała.

Hej, zwinęli się murarze, majstrowie,
I już stanął śliczny kościół w Krakowie,
Okazały, Pannie czystej dla chwały, —
A w rogu jest od dłuta
Mała stopka wykuta —
Jak litośną była polska królowa
Na pamiątkę się chowa.

Grześ z Mogiły.

Domowy złodziej,

czyli:

Stach Słomka.

(Przepisano ze Szkółki Niedzielnej.)

Jednej niedzieli po nieszporach zasiedli sobie co starsi gospodarze z *Podlasku* na smętarzu pod wielką lipą a z nimi i kościelny. Więc *gadu gadu*, ten o tem, ten o owem, ot jak to bywa między słusznymi gospodarzami, co sobie nie jedno mają do powiedzenia. Nareszcie jeden między nimi, co się nazywał *Sebestjan*, tak się odezwie:

— Już-ci to prawda, moi ludzie, że złodziej jest djabelski człowiek; ale sto razy gorszy jest *domowy złodziej*. Bo któż go zna, kto go upatrzy! Raz po raz coś zginie. Już-ci posądzenie na tego lub owego, a najczęściej na niewinnego: a winowajca spokojnie siedzi i jeszcze na drugich podwodzi — ztąd kłótnie i obraza Boska. Szczęściem, kiedy *oliwa wyjdzie na wierzch*, a czasem wyjdzie i to osobliwszym sposobem.

Pamiętam, jakby dziś, o jednym takim domowym złodzieju. Był-ci wtedy jeszcze nie duży ze mnie chłopiec i służyłem za koniarka u nieboszczyka Walka, może go jeszcze pamiętacie. Otóż w tym domu zawsze coś ginęło, to gospodarzowi, to dziewkom, to samej gospodyni, czasem i któremu parobkowi

parę groszy, a najczęściej wtedy, kiedy sobie nieźle podpruszył. Kto wziął? ani rusz zgadnąć! a przecie musiał ktoś wziąść i to nie z obcych, bo albo żadnego śladu nie było, albo też nikt u nas taki nie był, coby go można mieć w posądzeniu. Więc na kogo spadała wina? jużcić na któregoś z czeladzi; raz na tego, drugi raz na owego, a i mnie posądziła była raz gospodyni, żem jej świsnął trzy *czeskie*, choć Pan Bóg świadkiem, że nie była prawda.

A miał też gospodarz parobka Stacha, okrutnego pochlebnisia, czy jak my go tam nazywali: *lizuniem*. On na każdego podwodził, a sam się ze wszystkiego omywał — on też był powiedział gospodyni, żem jej wziął trzy *czeskie* i oberwałem od niej parę razy miotłą, a co mnie się *juchaczem* naprzezywała! Boże! odpuść jej to wszystko. Gospodarz to nie wiele mówił, ale okrutnie się kwasił.

Aż tu razu jednego wszystko się wydało. Poszli byli gospodarze do sołtysa na kiermasz. Czeladź była w domu, a ja wyprosiłem się po koszulę do matki. — Nazajutrz gospodarz miał kupić smoły; otworzył do skrzynki, a tu mu brakło dwóch złotych. Rozgniewał się bardzo, podchodził wszystkich, wszyscy się *dalibógowali*, że o niczem nie wiedzą, a najbardziej Stach. Koniec końcem dwóch złotych nie było.

W przyszłą niedzielę zawitał do nas świętej pamięci nieboszczyk Urban. Wówczas był jeszcze młody i żwawy, a taki filut i figlarz, żeś mu równego nie znalazł w całej wsi. Gospodyni powiada mu o zginionych dwóch złotych i o innych kradzieżach, co się były wydarzyły. Trąciła mu przytem do ucha, że to pewno nie kto inny zwędził te dwa złote, jak Stach, bo się najbardziej przysięgał i bił w piersi, choć w niego nikt tak bardzo nie wmawiał.

— Moja stryjenko! na to Urban — ja złodzieja wynajdę; każcie tylko wszystką czeladź zwołać.

Gospodyni kiwnęła na męża, aby też nas wyszukał i do izby sprowadził. Niebawem zeszliśmy się wszyscy. Urban ustawił nas rzędem i każdemu dał w gębę słomkę na dwa cale długą.

— Co to z tego będzie? myśli sobie każdy z nas — a tymczasem filut Urban bąka coś sobie pod nosem, czegośmy zrozumieć nie mogli. Nareszcie zawoła:

— Żeby mi się żadne nie ruszyło i na drugie nie patrzało. Jeżeli które z was owe dwa złote zwędziło, to niech wie, że mu słomka na cal w gębie urośnie i to nie za długo, najdalej w pięć pacierzy.

Staliśmy wszyscy jak wryci, żadne nie śmiało na drugie wejrzeć, chyba nieznacznie zyzem, czy któremu słomka z gęby nie wyrasta. A Urban stał naprzeciwko nas i patrzał w Stacha jak w tuza. Parobek raz pabladł, to drugi raz czerwienił się jak głownia, bo to nam zaś Urban potem wszystko opowiedział. Nareszcie usłyszał, że Stach zgrzytnął zębami.

— No, dosyć już tego! odezwał się Urban — teraz już wiem, kto złodziej. — I zacząwszy odemnie, poodbierał z gęby słomki. A gdy odebrał od Stacha, zaraz poznał, że on kawał słomki ugryzł, bojąc się, aby mu jako złodziejowi na cal nie urosła.

Tym sposobem wydała się sprawka Stacha; przyznał się do kradzieży, wszyscyśmy na niego gadali, a gospodarz już nie czekał aż mu się rok skończy, ale go zaraz odprawił. Odtąd inaczej go nie nazywano, jak *słomka.* Z wielkim wstydem odszedł Stach, a nawet się ze wsi wyniósł i przepadł gdzieś jak kamień w wodę.

— Jabym jeno rad wiedzieć — odezwał się teraz jeden z młodszych gospodarzy — czyby też owemu Stachowi było słomki na cal urosło?

— O, gdzie tam! rzeknie Sebastjan — zwyczajnie filut Urban podszedł w ten sposób złodzieja. Stach miał sumienie nieczyste; w strachu uwierzył na raz, że mu *słomki przyrośnie*, dla tego jej ugryzł. Rachował mu to Urban, bo wiedział dobrze, *że na złodzieju czapka gore*, i żeć go samo sumienie wyda, choć sam nie będzie wiedział jak.

— Oj, tak to tak! zakończył kościelny — najlepiej nie krzywdzić nikogo, to i sumienie będzie czyste i spokojne.

ŁASKA BOŻA.

Opowiadał Weleenty ze Smolnicy.

Nie za górami i lasami, ale rzec-by można tuż pod nosem, bo ledwie milę za Lwowem, leży przy gościncu do Janowa wieś *Rzęsna ruska.* Nie wielkać to wioszczyna, ot najwięcej jak ma chat trzydzieści; ale zato ciągnie się przy murowanym gościńcu w pobliżu wielkiego miasta, gdzie o zarobek nie trudno; więc też jako tako mają się gospodarze a i zagrody wyglądają wcale nie szpetnie. Jednak do niedawna nie miło było jakoś jechać tamtędy, bo człek widział i chaty, i stodoły i stajnie, i opory i karczmisko setne z mendlem żydów przy drodze, ale nadaremno sięgał okiem za domem Bożym, za kościółkiem albo cerkiewką jaką taką.

Rzęsna ruska nie miała swej cerkwi własnej, gospodarze musieli do drugiej wsi o pół mili drogi chodzić na służbę Bożą. Nie dalekoć to wprawdzie, ale zawsze bardzo dolegliwie i nie na rękę; bo jedno szpetnie i nieprzyjemnie wygląda wieś bez domu Bożego na oko, a drugie wiecie jakie ztąd dla pobożnych mieszkańców kłopoty i przykrości: ot jeden wybierze się do drugiej wsi zawcześnie i parę godzin musi czekać na słońcu; drugi się znowu zapóźni i przyjdzie świece gasić, trzeci radby pomodlić się Panu Bogu, ale cóż, kiedy nie domaga, zepsuł sobie nogę i nie zajdzie pół mili drogi!

Otóż wszystko to rozważali sobie gospodarze w Rzęśnie ruskiej i jakby ich nagle Pan Bóg natchnął, wszyscy zawołali jednozgodnie:

— Już też tak dłużej być nie może, żebyśmy nie mieli własnej swej cerkwi. Śmiech powiedzieć, jeden i drugi i dziesiąty znać ma się nieźle, a tylko Pan Bóg u nas najbiedniejszy, bo nie ma swego domu własnego.

I jak jęli radzić i gwarzyć między sobą, tak też uradzili, aby jeszcze tej wiosny ściągnąć się z ostatniego i budować cerkiew. Wiedzielić z góry, że dwór da zaraz cegły, wapna i materjałów; ale chodziło o robotę, o dostawę, o majstrów,

a i to dla tak małej gromady rzecz nie mała. Przecież nie stracili ducha, jeno coprędzej zakasali rękawy a wzięli się całą siłą do roboty. W samej rzeczy wszystkich materjałów dostarczył dziedzic, gromada miała tylko pozwozić i dostawić majstrów i robotników.

Zdawałoby się, że to za wielki ciężar na tak małą gromadę; ale gdzie dobra wola tam nie za ciężko. Pewna rzecz, że człowiek za godzinę więcej zrobi, kiedy chce, niż na dzień, kiedy musi. Toż rychło i raźnie rozpoczęła się fabryka i roboty postępowały z każdym dniem dalej.

Tymczasem wszystkie wsie w sąsiedztwie nie chciały wierzyć, aby się tak prędko udała budowla.

— Ot waryjaty — mówili sąsiedni gospodarze i kiwali głowami — i wiosnę sobie zatracą, pola nie sprawią i cerkwi nie wybudują! gdzie to na trzydzieści chłopa takie roboty.

Zamiast tedy pomagać im przy tak uczciwej pracy, to jeszcze przymawiali. Aliści się zawiedli srodze. Rzęśnianie nie tylko że prędko budowali cierkiew, ale prędzej jeszcze od nich pokończyli roboty w polu, a nawet z często gęsta nie opuścili zarobku. Prawdaż, że pracowali wszyscy, młodzi i starzy, chłopi i baby, ba nawet dzieci podawały cegły, mięszały wapno i posługiwały przy fabryce.

I owóż posłuchajcie, jaka ich za to czekała nagroda. W tegorocznem lecie nie trudno było o nieszczęście, a szczególniej koło Lwowa wnet tu, wnet tam spadały burze i grady okrutne. I pewnego dnia w samo południe widzą Rzęśnianie, jak straszna chmura, czarna jak węgiel, z hukiem i szumem ciągnie ku nim a tuż za wsią widać nawet jak wali gradem, jakby kurzemi jajami. Serce im skamieniało z przestrachu i oddech się zaparł w piersi, bo to ściągnęli się na tę budowlę, a jedyna ich nadzieja była w polu.

Aliści czarna chmura huczy i szumi, lecz nie sypie już gradem, jeno z wolna przeciąga nadewsią, a dopiero druga mniejsza z tyłu rozlała się deszczem. I ani jedna grudka gradu nie padła na grunta Rzęsny ruskiej, a we wszystkich wsiach sąsiednich na około, w prawo i w lewo, z tyłu i z przodu zbiła na błoto cały zasiew. — Kto z Bogiem, Bóg z nim.

Pogadanki starego pszczolarza.

Opisanie przez Adama z Pepłowa.

Niedaleko *Płocka*, het aż na Mazurach, mieszka sobie nad samą Wisłą jeden gospodarz, co się nazywa *Jacenty*. Letni to już człek, ale jeszcze zdrowo i krzepko się trzyma, zwyczajnie jak stary żołnierz. Jacenty sługiwał jeszcze w polskiem wojsku, za czasów owego sławnego wojownika *Napoleona*. Jak się ta wojna skończyła, powrócił do domu i pomagał ojcom w gospodarstwie. Wkrótce potem ożenił się i był już ojcem *sześciorga* dzieci; aż tu się znowu na polską wojnę zaniosło. Więc żonę i dzieci zostawił Bogu w opiece a sam poszedł na wojnę i bił się z Moskalami aż do samego końca. A kiedy wrócił do swoich, to był jakiś bardzo smutny. Żonie tylko tyle powiedział, że Moskale wygrali — i przez cały rok potem nie mógł przyjść do siebie; chodził od rana do wieczora jak mruk jaki, rzadkoć do kogo zagadał i jeno się raz wraz modlił i wzdychał. Po roku już się był trochę uspokoił i dopiero na prawdę pomyślał o gospodarstwie, bo do tych czas to baba wszystkiem zawiadywała a jego jakby nie było. Jeszcze wtedy żył jego ojciec, ale już bardzo był stareńki. Jak była zima, to nawet z chałupy nie wyłaził; za to na wiosnę to już prawie cały dzień przesiedział w swojej *pasieczce* i słuchał jak pszczółki brzęczą. Otóż często gęsto i syn do ojca zaglądał i uczył się od starego *pszczolarstwa*. A im dłużej go słuchał, temci bardziej mu się to podobało. W końcu tak się był rozmiłował w pszczołach, żeć nieraz ojciec sam musiał go napędzać z pasieki, aby niezaniedbywał reszty gospodarstwa. — Po śmierci starego już się Jacenty pszczół nie popuścił, tem bardziej że widział, jaki z nich piękny pożytek może mieć pilny gospodarz. I jakoś Bóg mu błogosławił, pszczółki chowały się zdrowo i rok rocznie nowe roje przybywały, tak że dziś jego pasieka liczy coś z dwieście ulów — a jego już inaczej nie nazywają, jeno *starym pszczolarzem*.

Przed kilkoma laty byłem u Jacentego w gościnie. Zaraz mnie zaprowadził do swojej pasieki. Aj pasieka to pasieka! aż rozkosz bierze patrzyć. Jacenty pokazywał mi rozmaite ule, rozpowiadał historją każdego, pouczał jak należy chodzić wedle pszczół, aby się dobrze wiodły, wyrachował jaki do roku można mieć dochód z pasieki — że jak padnie na dobre lato, to i kilkadziesiąt reńskich się zbierze z jednego ula. — A ja to wszystko pilnie słuchał, i myślę sobie: dlaczego to nasi gospodarze tak mało dbają o pszczoły? Przecie na to nie potrzeba wielkiego wydatku, dochód jest piękny, a i pracy wedle tege nie wiele, boć taki zachód raczej bym nazwał zabawką a nie pracą! — Tak tedy myślę i zaraz sobie w głowie ułożyłem, żeby wam kiedyś na zachętę opowiedzieć wszystko to, co się tyczy pszczół, a com wtedy zasłyszał od onego *starego pszczolarza.*

I.

Co to jest rój?

Chcesz, mój człeku — mówił Jacenty — nauczyć się obchodzenia z pszczołami, powinieneś naprzód wiedzieć jakie są potrzeby tych *żyjątek.* Potrzeb zaś ich znać nie będziesz, jeżeli się dobrze nie przekonasz, jak one żyją i jak się rządzą w tej swojej gromadzie, co się nazywa *rojem.* Jedna taka gromada czyli rój składa się z *matki*, z *pszczół roboczych* i z *trutniów.* Roja chowa się w *ulu* albo w *koszce* słomianej. Kilkanaście takich ulów z rojami stanowią *pasiekę.*

Potem roztworzył stary Jacenty jeden z ulów, i wskazał mi na okienko szklanne, które były zaraz pod samemi drzwiczkami, abym się przypatrzył lepiej pszczołom. Na oko wszystkie zdały mi się podobniusieńkie do siebie; więc się obrócę i rzeknę do Jacentego:

— A przecie wszystkie pszczoły jeddakowe! nie widzę ani tej *matki*, ani *trutniów*, coście mi o nich gadali.

— Boś panie mój *fryc* jeszcze — powie Jacenty — to dla tego nie widzisz. Ale ja ci tu zaraz pokażę. — I pochwycił dwie pszczółki, siedzące na ulu. — Ot, patrzaj teraz! powiada dalej, ukazując mi obie pszczółki — to jest *truteń*, co

go trzymam w lewej ręce, a ta zaś w prawej to *pszczoła robocza.* Truteń, jak widzisz, porosły jest czarnemi włosami i daleko jest w sobie grubszy, niż pszczółki robocze; także nie jest ani taki zgrabny jak one, ani taki żywy w lataniu i w chodzeniu, ani też pracowity, bo owszem leniwiec jest wielki.

W tej chwili zabrzęczało mi tuż koło nosa; machnę ręką, aby się obegnać, i naraz tęgo krzyknę, bo mię pszczoła ukąsiła. Zaśmiał się stary, że ze mnie taka baba i że lada czego zaraz wrzeszczę; kazał sobie podać rękę, wyciągnął żądło i powie:

— Otóż masz jeszcze jedną różnicę trutnia od pszczoły pracownicy; bo truteń wcale nie kąsa, choćbyś go brał w rękę i nie wiedzieć jak długo trzymał, a zaś pszczółka ta cię zaraz utnie, bylebyś ją napastnął. Nie potrzeba było machać ręką, toby sobie była spokojnie przeleciała. Teraz przypatrzże się pszczółce, co takie żądełko ma ostre na swoją obronę: małać ona, ale zgrabna i niezmiernie żywa; do latania ma cztery skrzydełka: dwa małe i dwa znowu większe. Pod małemi skrzydełkami znajdują się dwa otwory do oddechu; niemi to ona wraz z skrzydełkami sprawia takowy brzęk. Do pracy służą jej nóżki, których ma aże sześć, a na każdej nóżce u końca ma dwa pazurki.

Spojrzałem przypadkiem na ziemię i widzę jedną pszczółkę nieżywą:

— Co to się jej stało? zapytałem Jacentego, wskazując na oną pszczółkę nieżywą.

Odpowiedział mi: — Toć ta sama, co ciebie ukąsiła; bo musisz wiedzieć, że pszczółka bez żądła żyć już nie może, i skoro go utraci, zaraz umiera. Pokażę ci teraz matkę, jak wygląda. — To mówiąc, otworzył ul i okazał mi palcem na jedną pszczołę, co siedziała w klateczce. — Widzisz, powiada, że ona większa od wszystkich, a nawet grubsza jest od trutniów. Skrzydła jej są tak krótkie, iż połowę tylko tułówia ukrywają. Po wierzchu jest jasno-brunatna; pod spodem koloru pięknie żółtego; nogi ma żółto brunatne, gdy tymczasem u innych pszczół są one czarnemi; przytem jast bardzo piękna i nadzwyczaj żywa.

— No, to sobie zapamiętaj na początek — mówił dalej Jacenty — com ci rano rzekł o matce, o pszczołach roboczych i o trutniach. Teraz pokaż mi swoją rękę! Widzisz, powiada, gdybym ci był zaraz żądła nie wyjął, byłaby ci ręka spuchła, jak poduszka, a tak toć jeno trochę napuchło; i temu wnet tu zaradzimy.

To mówiąc, dobył z kieszeni jakąś flaszeczkę, puścił z niej kilka kropel jakiegoś płynu na opuchliznę, natarł mocno i patrzaj, że prawie w jednej chwili już żadnego znaku nie było. Zapytałem go, co to jest za balsam gojący?

Odpowiedział, że to nie jest żaden balsam, ale po prostu *spirytus salmiakowy*, który w aptekach *amonią* nazywają. Mówił mi także, iż dobry jest na to *spirytus kamforowy*.

— Jeżelibyś, radził mi dalej — nie miał ani jednego ani drugiego pod ręką, to sobie nakop trochę świeżej ziemi i przykładaj do rany. Także często pomaga na takie rany: sok z cebuli — utarta sałata — mocna wódka lub oliwa.

Mówił mi nadto, że on sam przypadkowo doszedł jednego sposobu, który mu zawsze pomagał, ile razy go tylko pszczoła ukąsiła. Po prostu, bierze się mocny ług z popiołu drzewnego, i tem się ranę obmywa.

Nareszcie ostrzegał, że nie każdy środek jest zarówno dla wszystkich dobry. Często coś jednemu pomoże, a drugiemu i trzeciemu wcale nie — dla tego niech każdy wszystkie środki próbuje, o jakich tylko wie i dopiero jak mu się już jeden doskonale nada, niechże go zawsze ma w pogotowiu, aby w razie ukąszenia od pszczoły zaraz mógł sobie poradzić.

Zapytałem go jeszcze: — Proszę ja was, panie Jacenty, a dla czegoć to one takie nie dobre, żeć kąsają?

— Mój ty człeku! odrzekł Jacenty — pszczoła robocza nie jest wcale zła, jeno się wtedy gniewa i kąsa, kiedyć się jej ktoś przeciwi, albo napastuje. Za przeciwieństwo uważa ona wszelkie niechlujstwo i brzydki pot, jeżeli go słychać od człeka. Dla tego idąc do pasieki, uważaj, abyś był zawsze czysto wymyty i w świeże chusty ubrany. Radzęć także każdą razą, kiedy masz z pszczołami do czynienia, natrzeć się ziołami przyjemnie pachnącemi, jako to: melissą, macierzanką lub rumiankiem pachniącym. A kiedy wypadnie miód pszczółkom podbierać,

wtedy musisz być jeszcze ostrożniejszy; i nie dosyć na tem, abyś był cysto ubrany, wymyty i onemi ziołami potarty, ale potrzeba jeszcze sitko wziąść na głowę, rękawice na ręce i dobrze się zaopatrzyć ze wszystkich stron. Ale o tem potem. Ot, już i wieczór, chodźmy do domu.

Przez drogę dziękowałem Jacentemu za naukę: — Nie uwierzycie, panie Jacenty — powiadam — jak mnie to wszystko bawi! i gdybym wiedział, że was to nie utrudzi, tobym częściej tutaj zaglądał na taką pogadankę.

— A owszem, proszę! odpowie stary pszczolarz — rad wam będę z duszy serca i we wszystkiem pouczę, co mi jeno wiadomo. Jutro wybieram się do księdza *Dolinowskiego*, co to nowy ul wynalazł, tak zwany *ramowy ul* — tobym się chciał jemu przypatrzyć. Zabawię tam z parę tygodni — potem zapraszam was do siebie.

Nazajutrz pożegnałem starego Jacentego, życząc mu szczęśliwej drogi.

RÓŻNOŚCI.

Szarańcza. — Oj, rozleciała się ta bieda, rozleciała szeroko po naszej ziemi! Jak zaczęła się walić od moskiewskiej i mołdawskiej granicy, tak poszła sobie het przez Podole, aż na Stryj, Sambor i do Przemyśla. Powiadają, że kędy leciała, to się słońce na kilka godzin ściemiło, a taki był szum i hałas, jakby gradowa chmura szła; a kędy padła na odpoczynek, to już oddaj się Bogu, a nawet nie zazieraj na pole gdzie co było, boć jeno gołą ziemię zobaczysz — takie to psiarstwo żarłoczne! Nawet liściom na drzewach nie podaruje; to też i lasy i sady wiele od tej szarańczy ucierpiały.

Strach na koniczynę. — W krakowskiem i dalej jeszcze za Krakowem, miały się tego roku pokazać jakieś gąsienice na koniczynie, co jej na piękne główki poobjadały.

Sposób, aby ziemniaki nie gniły. — Przechwala się jeden niemiec, jakoby wynalazł pewny sposób na ziemniaczki, coby się nie psuły. Powiada on, że dosyć posypać je *gipsem mielonym*, a będą zdrowe. Kto ma ochotę, niechaj spróbuje, czy to prawda.

Skąpy dwa razy traci na swojem skąpstwie. Ciekawą też o tem wyczytałem historję. Ponoś to na Mazurach było w jednej wsi. Mieszkał tam

gospodarz nazwiskiem Mądrala, setny skąpiec, co to zbierał grosiwo, a tkał pod poduszkę, i za sochę i Bóg wie gdzie jeszcze, a nikomu nic zgoła, choćby też na obwinięcie palca nie podarował. Ten gospodarz zabił był sobie razu jednego wieprza wielkiego i tłustego. A trzeba wiedzieć, iże w onej wsi od dawien dawna był taki piękny zwyczaj, że kto zabił wieprza w domu, albo owoce zbierał, zaraz rozsyłał sąsiadom i przyjaciołom i z nimi się dzielił. Otóż Mądrala, kiedy wypadło brać od drugich, ho! to brał i nic nie pytał — aleć teraz, jak znowu przyszło swojem się podzielić, to mu się jakoś strasznie nie chciało. Kręcił się tedy i kręcił, czyby tu nie można jakiej rady wykręcić, aby nikomu nic nie dać a nie rozgniewać ludzi na siebie. Na to nadchodzi sąsiad Wyrwas; widzi że Mądrala jakiś kwaśny, więc się zapyta:

— Moiściewy! jakiego znowu robaka macie, hej?

— Oj miły sąsiedzie — powiada Mądrala — nie wiem co to począć! zabiłem ci wieprza, ale takiego maluśkiego żeć prawdziwie w głowę zachodzę, czem się to będzie podzielić z sąsiadami? a znowu nie podzielić się, to jakoś nie wypada?

— Ha jużcić, że nie wypada! odpowie Wyrwas, co go znał na wylot, że to Mądrala nad Mądrale; a że sam był człek przebiegły i nie koniecznie sumienny, więc daje mu taką radę:

— Udajcie kumotrze, że wam dzisiaj w nocy złodzieje wieprza zwędzili; wszyscy uwierzą i na tem się skończy, że nikomu nic nie dacie.

Mądrala aż klasnął w ręce, tak mu się ta rada podobała: — Dobrze mówicie, mój sąsiedzie! powiada — Bóg wam zapłać tymczasem! jak narobię kiełbas, to wam z jedną podaruję,

— Dziękuję wam! ja tam znowu nie taki chciwy — odrzeknie Wyrwas, pożegnał i odszedł. Przez drogę myśli sobie: — Poczekaj skąpcze, już ja ciebie nauczę rozumu. A gdy noc nadeszła, zakradł się on Wyrwas do mieszkania Mądrali i zwędził mu całego wieprza. Rano hałas i krzyk u Mądrali; wszyscy szukają wieprza, gdzie tam! jak kamień w wodę przepadł. Wybiega Mądrala i napotyka złodzieja Wyrwasa:

— Wiecie co, kumotrze — powiada ze żalem — wieprza mi ukradziono dzisiaj w nocy!

— Dobrze, odpowiedział mu złodziej — tak trzeba mówić wszystkim, których napotkacie.

— Ale to nie żarty, moiściewy! prawdziwie mi go ukradziono; przysięgam Bogu, że go ukradziono.

— Dobrze sąsiedzie, tylko tak przysięgajcie się wszystkim, a zaręczam, że wam uwierzą.

— Ależ na Boga! zaklął Mądrala i aże się zapłakał jak dziecko.

A szelma Wyrwas jeno się uśmiecha: — Tęgo udajecie, powiada — zjedzą djabła czy się domyślą!

Mądrała widzi, że się z sąsiadem nie dogada i pobiegł dalej na wieś. Aliści przebiegły złodziej już poprzód był rozpowiedział całej gromadzie

jak się go radził skąpiec i co on mu na to poradził. Toż przed kim się jeno Mądrala skarzył, nikt mu nie wierzył, chociaż się klął na duszę, i płakał i ręce łamał. Owszem jeszcze sobie każdy pomyślał: — Nie dosyć że nas oszukał, jeszcze nam tu w żywe oczy łże, obmierzły skąpiec!... Miał więc Mądrala dwojaką karę za swoje sknerstwo: i wstyd i szkodę.

Prawda, że jakoś potem w rok wydała się cała ta sprawa; Wyrwasa przycapili gdzieś na złodziejstwie i oddali go pod sąd. Wtedy przyznał się i do wieprza Mądrali, żeć go zwędził — ale już mimo to skąpiec nie mógł do samej śmierci naprawić sławy swojej w gromadzie.

Odważne żydy. — Żydzie! byłeś ty w wojsku?... pytał stary wiarus handlarza.

— Co nie miałem być!... ja nawet *zginułem!*

— Zginąłeś? a żyjesz?

— Ny, chce pan to panu opowiem...

— Bardzom ciekawy!

— Jak się zrobiła wojna, to pan burmistrz zas *wsistkich* w Pinczowie wymustrował na *pikuniarzy.*

— Cóż to za wojsko?

— My mieliśmy piki od tyczkowego grochu i dla tegośmy sobie tak *nazowali.* Jak *nieprzyjacioł buł o kilke mile*, to my wsiscy ksiknęliśmy: ura!... on sobie zląk i poszed — ale potem drugi niepsijacioł miał zle przewodniki i psised do nas, jak mi byliśmy na mustrze. Jak zaczęliśmy robić gewałt! hałas! wojnę!... takeśmy wsisci zginęli. Dopiero w parę kilka tygodni, jak pan burmistrz ogłosił licytacjom, takeśmy się, Bogu ziękować, wsisci znaleźli.

— Patrzaj, to wy odważne żydy!

— Aj waj!

—

Poprawka. Proszę ja was, zajrzyjcie-no jeszcze raz do 6go numeru „Dzwonka", bom się tam w jednem miejscu pomylił. Pokażę wam gdzie: w *Różnościach* zachwalałem wam jedną książkę, co się nazywa *Szkółka powszednia.* W onej tedy pochwale rzekłem był przez pomyłke, *żeć się nasza ziemia ze wschodu na zachód obraca*, zamiast cobym miał powiedzieć: *z zachodu na wschód.* Otóż sobie poprawcie tę pomyłkę — a ja wam za to kiedyś całą tę rzecz wytłumaczę: z kąd nam wiadomo, żeć się ziemia obraca a nie słońce, jak się to na oko wydaje.

Słowa z pisma świętego.

Temu, kto się Pana boi, będzie się dobrze działo na ostatku, a w dzień śmierci swej będzie błogosławiony.

Kto czci ojca swego, doczeka się pociechy z dziatek.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**